Nr. 43. We Lwowie dnia 28. października 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przyszłość Wielkiego Ks. Poznańskiego.

Nie chodzi tu o przyszłość Księstwa Poznańskiego pod względem ekonomicznym; — przyszłość ta nie jest zagadkową i da się w granicach przypuszczalności obliczyć i przewidzieć. Prawdziwą zagadką, nad rozwiązaniem której warto się zastanowić już choćby dlatego, że rząd pruski z jednej, a społeczeństwo polskie z drugiej strony wytężają wszystkie siły, aby do jej rozwiązania po swej myśli doprowadzić — jest przyszłość żywiołu polskiego w pruskim zaborze pod względem społeczno-politycznym.

Gdy się zważy, że przechodzenie wielkiej własności polskiej w ręce niemieckie posuwa się z zastraszającą szybkością, gdy się weźmie pod uwagę wszystkie sposoby, których system zaborczy używa konsekwentnie w celu ekonomicznego i politycznego zniszczenia Polaków, to mimowoli nasuwa się pytanie: czy Polacy w Księstwie Poznańskiem są w możności oparcia się naporowi germanizacji i czy mają prawo spodziewać się lepszej przyszłości? A dalej: jak ta przyszłość się ukształtuje?

Sama natura tych pytań wskazuje, że odpowiedź na nie brzmieć może tylko warunkowo i ukształtuje się nietylko na podstawach, które daje teraźniejszość, ale i na tych zmianach, jakie najbliższa lub dalsza przyszłość chować może w zanadrzu.

Przyszłymi losami Polaków pod berłem pruskiem kierować będą nietylko premissy teraźniejszego położenia, ale i warunki politycznego bytu ludności polskiej wogóle.

W obecnem położeniu rzuca się w oczy przedewszystkiem dokonywująca się przemiana społeczna: inteligencja rodowa, szlachta, reprezentująca jeszcze do niedawna tę część społeczeństwa, w której stosunkowo najżywszem biło tętnem poczucie polskości, obecnie znalazła się na drodze, która prowadzi do zupełnego zniweczenia w niej wszelkiej odporności. Trzyma jeszcze wprawdzie ster w coraz bardziej słabnących rękach, ale sama czuje, że kres się zbliża. — Coraz więcej mnożą się w Księstwie powiaty w których patrjarchalny zwyczaj wybierania okolicznej szlachty do komitetów wyborczych ulega zmianie, ponieważ tej szlachty poczyna braknąć. Pochłania ją Berlin i Wrocław, kolonizacja i brak robotnika, potrzeba wychowania „synów obywatelskich“ na lekarzy, adwokatów i inżynierów, bo do uprawy ziemi już niema co ich sposobić.

A tak więc dokonowuje się zwolna, lecz nieustannie głęboko sięgająca przemiana społeczna.

Na miejsce inteligencji szlachecko-ziemiańskiej, związanej z ziemią, a przez to unieruchomionej niejako i niedostępnej do szybkiej przemiany wewnętrznej, zjawiają się zaczątki inteligencji oderwanej od ziemi, inteligencji nie z urodzenia, ale z wywalczonego pracą osobistą stanowiska społecznego.

Jasnem jest, że w szeregach tej inteligencji, opartej na osobistych zaletach jednostek, szybciej i łatwiej dokonywuje się proces przemiany społecznej; w szeregach tej inteligencji zawsze się znajdzie miejsce dla synów włościan i rzemieślników, dla nowych ludzi. Zasilana jednostkami, związanemi pochodzeniem ze wszystkiemi klasami społecznemi, inteligencja ta, będzie bardziej, niż zamierająca dzisiejsza, odpowiadać potrzebom chwili i pojmować ducha czasu.

Można więc śmiało twierdzić, że wskutek położenia ekonomicznego, które obecnie powoduje zanik klasy ziemiańsko-szlacheckiej, w Księstwie dokonywuje się obecnie aż do podstaw sięgająca społeczna przemiana, której produktem będzie wytworzenie zdolnej do życia, nie związanej wprawdzie z rolą, ale też i wolnej od kastowych uprzedzeń, inteligencji. Proces podobny — z pewnemi zależnemi od lokalnych warunków zmianami — dokonywuje się obecnie, w mniejszym zakresie i z mniejszą szybkością, na Śląsku i w Prusach Zachodnich, gdzie po doszczętnym za-

niku polskich rodowo-szlacheckich klas wyższych formuje się obecnie z ludu samorodna inteligencja, powołana do tego, aby stanowić w przyszłości czoło narodu. Proces ten na Śląsku np. odbywać się musi niesłychanie powoli dlatego, że setki lat dzielą chwilę obecną od czasów, gdy istniała tam inteligencja, — cała praca kulturna zatem odbywać się musi od samego początku, a na to składają się pokolenia, podczas gdy w Poznańskiem można dojść do tych samych rezultatów w nierównie krótszym czasie drogą przekształcania. Na Śląsku przeciętnie zamożny gospodarz musi z największem natężeniem sił pracować i dążyć do tego w ciężkim trudzie, zanim syna wykształci na nauczyciela, lub księdza. Dopiero ten nauczyciel lub ksiądz może kogoś z rodziny również z natężeniem sił pchnąć dalej i zrobić lekarzem, profesorem, adwokatem, inżynierem, przemysłowcem w większym stylu.

Tymczasem w Księstwie istniejąca klasa inteligencji wiejskiej ma jeszcze po temu środki, aby w pierwszem zaraz pokoleniu uskutecznić tę przemianę społeczną.

Tak jak dziś rzeczy stoją, ta inteligencja wiejska, to ziemiaństwo, jedną — ostatnią niejako służbę spełnić może swemu społeczeństwu i narodowi: oto przygotować sobie następców w innych, odległych od rolnictwa zawodach, oraz przygotować lud do samodzielności w sprawach politycznych, aby po ostatecznym zaniku tej klasy lud, prowadzony przez nią dopóki jej na żywotności nie zbywało, potrafił iść sam dalej o własnych siłach.

Aby się tak stało, czuwają nad tem dobre elementy z pośród tej ustępującej z pola klasy szlacheckiej, oraz spontanecznie budzący się ruch ludowy, dążący do samodzielności i szerzenia samowiedzy.

Za lat dwadzieścia, trzydzieści przemiana się dokona i wewnętrzne warunki dalszego bytu żywiołu polskiego w zaborze pruskim w nim samym się odnajdą.

Przejdźmy teraz do warunków zewnętrznych.

Księstwo, a dawniej Śląsk i Prusy zachodnie, przestały już wierzyć w fikcję, że pod skrzydłami czarnego orła pruskiego znajdzie się możność znośnego bytu i zachowania narodowości. Pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy nie jest możliwe; siły własne, jakiemi rozporządza lub rozporządzać będzie zabór pruski, pozwalają t r w a ć, utrzymywać z wysiłkiem ten s t a t u s q u o, niedopuszczać pogorszenia się stosunków, ale nie pozwalają na ich polepszenie. Ostatecznie wszystko ma swoje granice, a ludzie żyją w c z a s i e: to znaczy, że zapasu sił do walki starczyć może zaborowi pruskiemu na lat sto pięćdziesiąt lub dwieście jeszcze, — nie na dłużej, bo jest liczebnie najsłabszy z trzech zaborów. Polepszenia bytu spodziewać się zatem można tylko od takiej zmiany warunków, dokonanej lub dokonywującej się bez naszego współudziału, dzięki której żywioł polski zostałby l i c z e b n i e wzmocniony.

Niepodobna wątpić, że w programie najbliższych lat pięćdziesięciu, czy stu, przyszłość kryje jeśli już nie wynikłe z politycznych kombinacji odbudowanie Polski, przynajmniej jako państwa ochronnego (*Pufferstaat*) dla jednej ze stron, to kryje w sobie kataklizmy polityczne, mające mniejsze lub większe podobieństwo do wojny europejskiej. Naturalnie wchodzi tu w grę wojna Niemiec z Rosją, jako jedna ewentualność, lub rozpadnięcie się jednego z państw zaborczych, jako ewentualność druga.

Wojna rosyjsko-niemiecka, bez względu na wynik swój, dla Księstwa tylko błogosławione wydać może owoce; albo łącząc je, w razie przegranej Niemiec, z Królestwem, to jest, opierając jego byt narodowy o twardy, wypróbowany i odporny fundament, — albo też, w razie przegranej Rosji, przyłączając do Księstwa część zdrowego, szczerze polskiego kraju, o innej formacji społecznej i ekonomicznej. Połączenie to zwiększyłoby jakościowo i ilościowo odporną siłę żywiołu polskiego.

Te same konsekwencje czekają Księstwo w razie drugiej ewentualności.

Niemcy to sami dobrze czują i stąd pochodzi ten ich nerwowy pośpiech w przeprowadzeniu germanizacji. Pośpiech ten jednak przybliża tylko chwilę rozwiązania, prowadząc w Księstwie do coraz to częstszego i wymowniejszego spoglądania w stronę Królestwa. Niedawno temu oświadczyło jedno z najpoczytniejszych pism poznańskich, że wkraczające wojska rosyjskie nie napotkałyby w Poznańskiem twarzy zagniewanych, — a słowa te dosadnie malują swego rodzaju tęsknotę, jaką dziś Księstwo odczuwa do połączenia się z Królestwem.

I połączenie to nastąpić wreszcie musi — w ten lub w inny sposób. A dalej? — Ponieważ mówiliśmy t y l k o o Księstwie, więc otóż Księstwo byłoby uratowane.

Dr. K. Rakowski.

SONET.

Skąpą dłonią łamało ze mną chleby przasne
Życie — i gorzki piołun niosło mi miast manny
I tylko w młodość blask swój rzuciwszy mi ranny,
Nie dba, gdy oto w mrokach długiej nocy gasnę.

Ciężkie dłonie na węzły kładę pęt zaciasne
I jak na czarę cenną, co o głaz podłogi
Rozbita, światłem pryska, tak na klejnot drogi
Serca mego poglądem i na życie własne!

I szat moich śmiertelne włóczący osłony —
Zanim dusza — ów motyl świetny i ockniony,
Powłoki swej doczesnej odmota powijak —

Mówię: „Opadnij prochu i puść, niech na wiece
Jasne i wieczne, krewnych moich ludów lecę.
Źle mi z tobą — a tobie zasię ze mną nijak!“

Iwo Płomieńczyk.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

6)

Dynamika społeczna

(Historjozofja).

Socjalizm nie przedstawia jednej tylko strony życia społecznego, ale skupia jak w soczewce wszystkie jego promienie. Takim powinien być *socjalizm integralny*. Jest on wynikiem potrzeb altruizmu ludzkiego, badań naukowych, postępu wiedzy i moralności, oraz rozwoju stosunków ekonomicznych i politycznych życia społecznego. Nie zamyka się on wyłącznie ani w kościele, ani w szkole, ani w dziedzinie ekonomicznej, ani w działalności politycznej. Wnika w całe życie, we wszystkie jego funkcje. W tych państwach, w których istnieją zagwarantowane konstytucją pewne swobody polityczne, w których lud pracujący zdobył już sobie pewny wpływ polityczny, w tych państwach stronnictwo socjalistyczne stało się lub staje się potęgą, ktorej inne stronnictwa muszą czynić pewne ustępstwa i która skutkiem tego już dzisiaj wpływa na przeobrażenie samej natury państwa, odbierając mu charakter klasowy a czyniąc je coraz bardziej prawdziwą *republiką, rzeczą pospolitą*, t. j. dobrem dla użytku powszechnego istniejącem. Widzimy to w Szwajcarji, Belgji, Stanach Zjednoczonych półn. Ameryki, w Anglji i Szkocji, po troszę we Francji, ale przedewszystkiem w Australji i Nowej Zelandji. Miasta szkockie, a za ich przykładem angielskie obejmują w swój zarząd wszystkie ważniejsze usługi publiczne, jak dostarczanie wody, gazu, elektryczności, jak komunikację tramwajową, a nawet (Glasgow i Londyn) budowanie domów dla klasy robotniczej*). W Nowej Zelandji, mającej 75.000 mieszkańców na przestrzeni niemal równej Włochom i złożonej przeważnie z kolonistów pochodzenia angielskiego, szkockiego i irlandzkiego, socjaliści w 1891 r. wespół z liberałami, po zawartym w tym celu kompromisie, doszli do władzy i od tego czasu rozpoczyna się cały szereg reform radykalnych, które ustrojowi politycznemu nadają charakter coraz bardziej socjalistyczny, kolektywistyczny.

Z tego krótkiego i pobieżnego szkicu, który podałem, dostatecznie widzimy, że w całej ludzkości odbywa się rozwój postępowy życia społecznego. Postęp ten przejawia się w wytwarzaniu się coraz wyższych, doskonalszych form tego życia i w zmniejszaniu się tak liczebnem jak i przestrzennem dzikości i barbarzyństwa. Widzimy także, że w miarę doskonalenia się organizmów cielesnych, a zwłaszcza organu umysłowości, w miarę jak mowa z coraz większą dokładnością wyraża uczucia i myśli ludzkie, w miarę wzrastania zasobu materjalnego i moralno- umysłowego, postęp staje się coraz szybszy i coraz świadomszy. Sprzyja też szybszemu przebiegowi rozwoju postępowego coraz bardziej zmniejszające się niebezpieczeństwo napaści i zalewu przez hordy dzikie lub barbarzyńskie. Dzisiaj, gdyby nawet nastąpił jak na początku Średnich Wieków wylew nowych barbarzyńców na Europę, to następstwa onego byłyby dla cywilizacji mniej groźne nietylko z tego względu, że nowi barbarzyńcy pod względem społecznego rozwoju staliby bądźcobądź wyżej od opisanych przez Tacyta, ale również i z tego bardzo ważnego względu, że pozostałyby takie wielkie i ważne ogniska cywilizacji, jakie widzimy w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki i Australji.

Usiłowano ująć przebieg odbywającego się w ludzkości rozwoju postępowego w pewną krótką formułę, któraby przedstawiała najistotniejszą

*) Zasługuje w tym względzie na wielką uwagę dzieło Alberta Metin'a p. t. *Socialisme en Angleterre.*

jego treść i przedstawiała niejako zasadnicze jego prawo. Taką krótką, najprostszą i najzgodniejszą z faktami formułę przedstawił St. Simon, wskazując, że w dzisiejszym rozwoju ludzkości panowała i panować musiała siła fizyczna, pod postacią przymusu i podboju, i dopiero w miarę rozwoju moralno-umysłowego i ekonomicznego, bierze przewagę coraz większą nad porządkiem militarnym i teologicznym porządek przemysłowy i naukowy, opierający się na dobrowolnem uznaniu. Uogólnienie to postępu dziejowego, sformułowane przez Saint-Simona, stało się podstawą wszystkich późniejszych uogólnień, bez względu na to, czy autorowie przyznawali się lub nie przyznawali się do tego. Oczywista, że późniejsi badacze przyczynili się wiele do wszechstronniejszego, dokładniejszego i bardziej uzasadnionego przedstawienia tej ogólnej formuły. Comte, stawiając rozwój umysłowości na naczelnem miejscu, wykazał dokładnie, jak się odbywał proces postępowy onej i jaki wpływ wywierał na wszystkie inne strony życia społecznego. Na Saint-Simonowskiej podstawie stoi także i teorja Spencera dwóch typów społecznych: militarnego i przemysłowego, z których pierwszy należy do przeszłości, drugi zaś jest wyobrazicielem postępu. Lassalle'owska kolejność trzech czynników ekonomicznych: ziemi, kapitału i pracy, jest świetnem rozwinięciem tegoż Saint-Simonowskiego uogólnienia, ale dającego się zastosować jeno tylko od początku pojawienia się państw. Tę samą Saint-Simonowską drogę kreśli i Franklin Giddings, ustanawiając trzy stadja cywilizacji ludzkiej: militarne i religijne, liberalne i legalne ekonomiczne i etyczne, czyli właściwiej godziłoby się powiedzieć: etyczno-naukowe, opierając się na szczegółowem wyjaśnieniu autora*). Schäffle, aczkolwiek opiera swoje wywody na teorji doboru naturalnego, przychodzi do wniosku, że rozwój życia społecznego postępuje od walki o bezpieczeństwo do walki o wytwór, od wojny do umowy i współzawodnictwa, od małych do wielkich uspołecznień, który to wniosek w gruncie rzeczy wypowiada z małą odmianą to samo, co i poprzednio.

Postępowy rozwój życia społecznego ludzkości jest dalszym ciągiem postępowego rozwoju, jaki się odbywał na naszej kuli ziemskiej. Jest on wynikiem działania słońca na samą ziemię, wynikiem nagromadzenia się i przeobrażenia energji słonecznej. Cechą doskonalszych tworów jest większa zdolność nagromadzenia, zachowywania i przekształcenia tej energji. Społeczeństwa ludzkie stoją w tym względzie najwyżej, a z pomiędzy owych wznoszą się na wyższe szczeble te społeczeństwa, które nagromadziły najwięcej energji słonecznej pod postacią zasobów: ekonomicznego i moralno-umysłowego.

---

*) Principes de Sociologie par Franklin H. Giddings. Paris 1897. Tłómaczenie z angielskiego.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

XI. Obraz historyczny.

Kiedy u Przybków szła na prządkach ożywiona pogwara, Iskra przebywał sam, ze ślepym ojcem, w samotnej swej chałupie pod lasem. Stary siedział wedle zwyczaju na piecu, syn krążył po izbie z widocznem zniecierpliwieniem. Chwilami przystawał u świecznika, aby poprawić machinalnie płonące łuczywo, to znowu zbliżał się do okna i patrzał w ciemność. Ale na dworze migały jeno płatki śniegu i wiatr szumiał, niosąc przeciągłe westchnienia poblizkiego lasu.

Wtem ktoś zapukał z lekka do drzwi wchodowych.

Iskra rzucił się ku sieni, nim jednak uchylił drzwi, zapytał przezornie:

— Kto tam?

— Ja — wójt z Miodakowa — Niemiec.

Do izby wszedł Chod średniego wzrostu, dość jeszcze młody, o żywych, śmiejących się oczach i wnet jął dowcipkować z gospodarzem domu. Rozmowę jednak przerwało powtórne pukanie.

— Kto tam? — pytał ponownie ostrożny grajek.

— Psutka — ozwał się w odpowiedzi głos z zewnątrz, a wnet po nim niby niedźwiedź jakiś pomruk dorzucił:

— Brychta.

— Ludzie na świecie! Dy to postrzekowcy! Pięknie witam! Pójdźcież do izby — pójdźcie! — zapraszał Iskra, otwierając drzwi na oścież.

Próg izby przekroczył najpierw Psutka, góral z Postrzekowa, który wraz z Pajdarem i Szerłowskim gościł u Przybków w pamiętny dzień, gdy żołnierze uwięzili Macieja i starego ojca. Towarzyszył Psutce wójt postrzekowski, Brychta, Chod wyniosłej postawy, kościsty i muskularny; z pod krzaczastych, śmiało pod nizkiem czołem,

zarysowanych brwi świeciły oczy do czarnych, wilgotnych brylantów podobne. Bronzowa twarz tchnęła odwagą, do zuchwalstwa niemal posuniętą, a przecinająca czoło szeroka blizna nie łagodziła wcale jej wyrazu. Znali — o znali ludzie Jakóba Brychtę, nietylko tu, lecz i dalej, na czeskiej stronie, — znali go też i za górami bawarscy sąsiedzi. Ci ostatni może najlepiej, bo w towarzystwie szwabów przebywając, Brychta częściej jeszcze sięgał w cholewę, za którą miał zawsze ostro wyostrzony nóż zbójnicki...

Teraz, siedząc na ławie wedle Niemca z Miodakowa, klął zamieć i ostrzem ciupagi zsuwał śnieg, przymarzły do wysokich butów.

Po chwili drzwi uchyliły się znowu i gospodarz domu wprowadził świeżo przybyłych gości. Byli to: Maciej Przybek, wójt Syka i stary Krzysztof z Drażenowa, któremu długie włosy białe wichura rozwiała, a śnieg gwiazdkami przysypał. Wójcia witali się jeszcze ze sobą, gdy przed chałupę zajechały sanki, przywożąc innych gości. Byli to wysłańcy dalekich Poczynowic: rosły Pajdar o szerokich barach i smukły Szerłowski, w krótkim kożuszku, w kwiatki wyszywanym. Młody chłopak jaśniał urodą tu zwłaszcza, w poważnem gronie starych i starszych, którzy też pytająco nań spoglądali. Spojrzenia te nie uszły baczności Pajdara, pośpieszył więc wyjaśnić, że wójt poczynowski, sam nie mogąc, z powodu słabości, przybyć na zgromadzenie, przysyła w zastępstwie syna, zasługującego pod każdym względem na zaufanie starszyzny chodzkiej.

Gromadkę rozmawiających powiększyło wkrótce przybycie wójta z Chodowa, Jerzego Pecza i Ecla Adam z Klencza. Przybyli pozrzucali kożuchy i siedli na ławach za stołem. Najdalej, w zupełnem niemal odsobnieniu od reszty towarzystwa trzymał się Maciej Przybek. Nie otwierał prawie ust, ale bacznie wszystkiemu się przyglądał i przysłuchiwał. Niektórzy z wójtów stawili się tutaj na zaproszenie Koziny, dalszych obszedł Iskra, wzywając w imieniu Jana i Syki na tajną naradę.

Zgromadzeni byli teraz już w komplecie i wszyscy, a najgłośniej Brychta — dopytywali się o Jana Kozinę i o cel zebrania. Chcieli mianowicie wiedzieć coś bardziej określonego, bo że gwoli Lammingera tu się zeszli, o tem nie wątpił nikt. „Prokurator“ Syka odpowiadał, uspakajając i zapewniając, że Koziny tylko co nie widać.

— Kaz ta poszedł?

— Do miasta

— A to poco, — kie wie, żechmy są wszyscy zebrani? — pytał, zapalając się, Brychta.

— Telo ino poradzę pedzieć, że kiejsi wrócił sie tamok z Wiednia Just, ów mieszczanin domażlicki, wiecie?

— Maciej? — zapytał Psutka.

— Hej, on sam. Miał proces z radą miejską. Długo się sądził, nasamprzód w Pradze, potem aże we Wiedniu. I wygrał. Prawie ów Just kazował, coby Kozina przyszeł ku niemu, bo ma wielgą nowinę. A że to padło w sam dzień naszej narady, toż Kozina pojechał do miasta po niego, abyście sami mogli słyszeć.

— Cobychmy zaś mieli czekać, dyć i ty wiesz, to nam powiedz, Syko! — niecierpliwił się w gorącej wodzie kąpany Brychta, ale Syka zamrugał ino oczyma i mówił, śmiejąc się:

— Poczkaj-że ino, poczkaj, Brychto! Jesteś ciekawy, jakobyś był córką Ewy...

— Byle ów mieszczan prawdę nam rzekł — ozwał się wójt z Chodowa.

- Dyć na plewy wziąść się nie damy! wybuchnął Brychta.

Wtem Iskra wpadł do izby.

— Jadą już, jadą! — oznajmił.

— Wszyscy zaraz umilkli — za oknem dał się słyszeć dzwonek, skrzyp sanek po śniegu, a po chwili weszli oczekiwani goście, najprzód dorodny Kozina w kożuchu, a za nim jakiś człowieczek w okrutnym płaszczu ciemnej barwy. Spojrzenia zgromadzonych utkwiły wszystkie naraz w domażlickim mieszczaninie, który zrzucił płaszcz i począł się witać z góralami. Wielu z nich znał, jednych z widzenia tylko, innych bliżej, ku wszystkim jednak zwracał się teraz z zupełną pewnością siebie, niby ku dobrym znajomym. Zaczerwieniona od zimna twarz drobnego, chudego człowieczka uderzała silnie wystającemi kośćmi licowemi, tępym nosem i czarnemi przebiegłemi oczkami. Nie czekając zaproszenia, przybyły zajął miejsce na twardym stołku śród Chodów i zaczął wnet terkotać, jak grzechotka.

Górale, których całą uwagą pochłonęła osoba gościa, siedzieli, niby pniaki. Just natomiast mówił żwawo i płynnie, jak z ambony.

— Przedwczoraj wróciłem z Wiednia, jakeście o tem słyszeli zapewne — opowiadał. — Sądziłem się tam o grunt, — wyborny, urodzajny grunt, który sławetna nasza rada miejska sobie chciała przywłaszczyć. Wiedziałem jednak, że mam do niego prawo rzetelne, więc-em się nie dał. Panowie radni wygrywali wszędy i nawet już na mojem polu, — na mojem, rozumiecie, sieli i orali, natrząsając się ze mnie. Bo cóż ja, ubogi rzemieślnik, znaczyłem wobec nich! Alem sobie przecie rzekł: broń się, sprawiedliwość nie wyginęła jeszcze do szczętu na tym świecie! No i sprawa wędrowała z sądu do sądu, aż doszła do instancji najwyższej, do samego cesarza!

— Hej! — zawołał Brychta. Opowiadanie zajmowało go widocznie i silne wywierało wrażenie na innych słuchaczy. Jeden tylko Krzysztof Hruby zachowywał się obojętnie, a Maciej Przybek nie przestał i teraz badać twarzy mieszczanina zimnem, przenikliwem spojrzeniem.

— Byliście więc na dworze? — pytał Psutka.

— Byłem.

— U samego cesarza?

— U samego cesarza.

— Nie przyrywaj mu opowiadania, Psutko! — upomniał Niemiec.

— I widzieliście cesarza naprawdę? — pytał Ecl z Kleńcza.

— Widziałem i mówiłem z nim. Ale wysłuchajcież przecie wszystkiego cierpliwie. A pamiętajcie ino, że nie mam najmniejszego powodu was okłamywać, że nie żądam od was żadnej zapłaty i żadnej korzyści stąd mieć nie będę, chyba trochę złości ludzkiej na mnie spadnie, jeżeli nie potraficie dochować tajemnicy, jeżeli mię zdradzicie.

— A więc czemu nam to powiadacie? — zapytał nagle Przybek.

— Czemu powiadam? — powtórzył Just szybko, nie dając się zmieszać. — Miłuję prawdę i sprawiedliwość, a sam nie mogę dać rady panom, — temu! Słaby i ubogi musi znosić krzywdę, cierpieć bezprawie. Tak się też dzieje i mnie i wam — wszak dobrze o tem wiecie...

— Dyć jakoż to było hań we Wiedniu? — przerwał pytaniem Niemiec, widząc, że zgromadzenie poczyna się niecierpliwić.

— Ano tak — przyjechałem do Wiednia, ale i tam mi się nic wiodło. Więc rzekę sobie: Macieju, nie pozostaje ci nic innego, jak spróbować szczęścia u cesarza. Pójdziesz do niego. — Nie była to jednak rzecz łatwa... Com się nalatał, naprosił, ilem pieniędzy wydał, rozumiecie? Teraz poszłoby to całkiem inaczej, ale wtenczas byłem niedoświadczony. Alem dotarł nareszcie do pałacu cesarskiego, ja i mój syn najstarszy, Jakób. Myślę sobie: niech chłopak też co zobaczy i zapamięta. Jakie w onym pałacu bogactwo i przepych, nie będę wam nadaremnie opowiadał. Wszędy ino marmury, złoto, jedwabie — najlichszy sługa, w aksamitach i galonach, wspanialej wygląda, niż u nas pan największy. Prowadzono nas przez szereg komnat, jedna od drugiej piękniejszych. Nakoniec znaleźliśmy się w ostatniej, gdzie kazano nam siąść i zaczekać. Stołki były obite aksamitem jak ornat, który nasz ksiądz dziekan przywdziewa na uroczyste nabożeństwo wielkanocne, — ten, wiecie, ze złotym haftem. Dobrze było na nich siedzieć, ale wnet zjawił się jakiś pan, szambelan, jakem dowiedział się później, i zawiódł nas do mniejszego pokoiku. Tu podniósł przepyszną zasłonę, która, wiecie, zastępowała drzwi, a wówczas znaleźliśmy się w komnacie najokazalszej i ujrzeliśmy dwóch panów przed sobą. Pouczono nas wprawdzie, wiodąc do cesarza, jako się mamy zachować w jego obecności, alem ja sam wiedział już o tem wpierw. Skinąłem na Jakóba i padliśmy na kolana.

— Jako-że wygląda cesarz?

— A kto był ów drugi? — pytali jednocześnie Psutka i Niemiec.

— Ów drugi był to kanclerz. Ten dopiero wspaniale wyglądał, niby jaki generał! Ale cesarz, tobyście snać ani domyśleć się nie mogli, że to taka osoba, tak skromnie był ubrany. W olbrzymiej peruce, w ciemnym kabacie bez galonów i haftu, w czarnych pończochach i trzewikach podobny był do księdza. Ale dobry pan! Wnet skinął ręką, abyśmy powstali.

— Czego sobie życzycie? — pyta.

— Wtedym opowiedział w krótkości wszystko, jak było. Słuchał uważnie, kiwnął dwukrotnie głową, porozmawiał chwilkę z kanclerzem po francusku, a potem zdjął z siebie płaszczyk jedwabny, leciutki, okrył nim moje ramiona i rzekł spokojnie: „Idź z Bogiem, stanie ci się wedle prawa!“

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

9) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

— Jeszcze, jeszcze! — wołano.

Nagle muzyka zagrała polkę.

— Weź mnie na ręce, weź mnie na ręce! — prosił Mario Wiewiórkę.

Przez cały wieczór, siedząc na ręku galernika, przyglądał się z zachwytem iluminacji, klaskał w rączki przed gwiazdą. Był niezmordowany w radości. A za każdym razem, gdy wracał pod balkon matki, wołał do niej z dołu:

— Mamusiu, droga mamusiu!

— Czy chcesz wrócić do domu?

— Nie, ja sobie spaceruję z Wiewiórką.

— Niech Wasza Ekscelencja będzie spokojna *o piccirilla* — mówił galernik.

Od czasu do czasu, prowadząc go za rączkę, Rocco pytał:

— Czy paniczowi nie zimno?

— Nie, gorąco mi — odpowiedział chłopczyk.

I on także, gdy tłum śpiewał na placu, zadzierał główkę do góry i cieniutkim głosikiem zawodził zwrotkę z „La Bella Gigogin“ i z „l'Armata se ne va;“ lecz gdy usłyszał muzykę taneczną, począł wołać:

— Wiewiórko, weź mnie na ręce!

Galernik, sądząc, że dziecię zmęczyło się, podniósł je do góry a chłopczyk uszczęśliwiony, że może patrzeć na świat z tak wysoka, śmiał się i trzepotał nóżkami w powietrzu.

— Potańcz ze mną, Wiewiórko! — wołał.

Galernik, z dzieckiem na ramionach, począł wirować w takt polki.

Było to sygnałem. Utworzyły się pary, żołnierze brali się w pół i przytuleni do siebie, tańczyli poważnie, z nogami rozstawionemi szeroko, z czapkami na bakier, z brodą na ramieniu towarzysza.

Z początku galernicy zadawalali się patrzeniem, ale gdy Rocco Traetta uniósł dziecko w górę, a dziecko zaniosło się od śmiechu, i oni zaczęli formować się w pary. Kilku Neapolitańczyków tańczyło wybornie, nie zważając na ciężki łańcuch, nie słysząc jego zgrzytu.

Inni wzięli się za ręce i skakali w kółko. Muzyka przyśpieszała tempo, a wciąż nad głowami, na ramieniu Wiewiórki krążyło dziecię w białej sukience i śmiało się, śmiało się, śmiało wśród ogólnej wrzawy, w potokach światła.

VIII.

Okiennice pokoju sypialnego były zamknięte, matka, pochylona nad łóżeczkiem chorego, opowiadała mu bajki półgłosem.

Mario słuchał z oczyma rozpalonemi od gorączki, z wyschłemi wargami, z których wychodził oddech świszczący.

Od pięciu dni dziecko miało krup. Po kilka razy na dzień przychodził je odwiedzać doktor Caracciolo, przepisywał chinę, wypalał w gardle, pokrytem białą błonką. Mały pacjent jęczał przeraźliwie.

Matka stała przy tem blada i niema, zagryzała usta do krwi, aby nie krzyczeć. Tylko kiedy niekiedy z bezmierną litością w głosie powtarzała:

— Syneczku, syneczku, syneczku!

W godzinę po wypaleniu rana była mniej bolesną, dziecię miało oddech swobodniejszy, z gardziołka nie wydobywał się ten świst okropny, rozdzierający duszę matki. Mario prosił o jedzenie; dawała mu buljon z rozbitemi jajkami, wino Marsala, a patrząc, jak zajada smacznie i pije chciwie, nabierała otuchy.

Gdy usypiał, kładła głowę na poduszce, na której spoczywało jej dziecię jedyne, ukochane.

Przez parę godzin Mario spał dość spokojnie; ona liczyła minuty, modląc się, by spał jak najdłużej, chcąc wierzyć, że to jest oznaką wyzdrowienia.

Lecz nagle, bez poruszenia się na łóżeczku, Mario otwierał oczęta i spoconą rączką szukał twarzy matki.

— Jestem, dziecino, jestem — szeptała. — Jakże się czujesz?

— Dobrze — odpowiadał niezmiennie.

I nie odzywali się już do siebie. Matka ocierała wilgotne czoło; rozpalona rączka pozostawała w dłoni matczynej. W pokoju zalegała cisza grobowa.

Czasami chłopczyk szeptał:

— Mamo, opowiedz mi bajeczkę.

A matka stawała się poetką; podniecona niepokojem, opiewała dzieje królewiczów i wróżek, królewien i czarownic. Chory słuchał ciekawie i zapominał o swych męczarniach.

Czasem wśród opowiadania wchodził ojciec, zbliżał się do łóżeczka na palcach. Dziecię witało go uśmiechem, słuchając dalej bajki, która zwykle kończyła się tryumfem piękności i cnoty.

Dziecię wyrażało swe zadowolenie, kiwając główką.

— Jak mu jest? — pytał kapitan żony.

— Dobrze mi — szeptał Mario, uprzedzając odpowiedź matki.

— On tak zawsze mówi, żeby mnie uspokoić.

— A jak ty uważasz, czy mu gorzej? — pytał kapitan.

— Ani gorzej, ani lepiej — szeptała, poprawiając poduszki.

I znowu popadała w smutną zadumę. Kapitan odgadywał przyczynę tego smutku.

— Chciałabyś go ztąd wywieźć, prawda? — spytał.

— Tak, przyznała.

— Doktor znajduje, że to niemożliwe.

— Niemożliwe! — powtórzyła, załamując ręce z rozpaczą.

— Bardzo mi tutaj dobrze, mamusiu — odezwał się Mario słabym głosem.

— Biedactwo, biedactwo! — westchnął ojciec.

Cecylja zbliżyła się do kapitana i szepnęła mu na ucho:

— Obiecaj mi...

— Dobrze, obiecuję z góry.

— Jak tylko będzie mu lepiej, to pozwolisz mi go wywieść do Neapolu. Przyrzeknij.

— Tak, tak — odpowiedział, głaszcząc ją po włosach.

— Obiecujesz?

— Tak, obiecuję solennie — powtórzył, czując, że choroba dziecka wzbudziła w sercu matki jeszcze silniejszy wstręt do galer.

Nad wieczorem, jak zwykle, stan chorego pogorszył się. Brakło mu oddechu; był podniecony, niespokojny. A gdy na chwilę się zdrzemnął, budziły go nawoływania szyldwachów.

Nieopisaną męczarnią było dla matki słyszeć te głosy, mącące nocną ciszę, płoszące sen z powiek jej dziecka. Ilekroć wstrętne: „Czuwaj“ miało się rozledz po wyspie, nieszczęśliwa matka kładła ręce na uszach synka, aby nie dopuścić do niego tych haseł okropnych.

— To mi nie przeszkadza, to nie przeszkadza — mówił Mario, obracając się w łóżeczku.

— Och! te galery! te galery! — szeptała matka.

— To mi nie przeszkadza — powtarzało dziecię, chłodząc rozpalone ciało prześcieradłem.

Noce były długie i bardzo ciężkie. Ale Cecylja nie chciała odejść od chorego ani na chwilę. Napróżno Gigli prosił ją, błagał, by mu pozwoliła czuwać przy synku; napróżno Grazietta ofiarowała swoje usługi — matka nie odstępowała od tego łóżeczka, w którem spoczywało całe jej szczęście, skupiało się całe jej życie. Blada, milcząca, w szlafroku, podobnym do habitu mniszego, siedziała przy swojem ukochaniu. Na prośby Grazietty i męża odpowiadała, pokazując poduszeczkę.

— Ja tutaj się prześpię — mówiła.

Mąż i służąca odchodzili, kiwając głowami — on wzruszony do głębi serca, ona, pełna litości, drzemiącej w sercu każdej kobiety i matki.

Noce były okropne. Gorączka podnosiła się, dziecię nie mogło oddychać, prosiło, by je wziąść na ręce. Matka owijała je w prześcieradło i kołderkę i tuliła w objęciach, nosiła je po pokoju, starała się je uspić, nucąc piosnki. A gdy Mario usnął, bała się go położyć w łóżeczku i chodziła z nim dalej, choć coraz dotkliwiej czuła ciężar tego ukochanego ciała. Wreszcie, zbliżała się do łóżeczka pocichu, chciała położyć synka, lecz w tejże chwili zaczynał jęczeć.

— Nie, nie — mówiła, podnosząc go i krążąc po pokoju.

Czasami udawało jej się położyć go tak ostrożnie i delikatnie, że się nie obudził. Główka opadała na poduszeczkę bezwładnie, a biedna matka, widząc tę bladą twarzyczkę, drżała ze śmiertelnej trwogi, bo dziecię wyglądało, jak martwe. Stwierdziwszy jednak, że oddycha, a nawet oddycha swobodniej, przyćmiewała lampę, przykładała głowę do poduszki i usypiała zwalczona zmęczeniem. Ale dziecię nie spało, tylko popadało w chwilowe odrętwienie, przerywane wciąż okrzykami szyldwacha; widząc jednak, że matka śpi, Mario starał się leżeć spokojnie i wpatrywał się w cienie na suficie.

Wreszcie, gdy duszność była nie do zniesienia, podnosił się na łóżeczku, pił jakby powietrze. Matka natychmiast zrywała się obudzona.

— Moje dziecię, moje dziecię ukochane — szeptała przepraszając go niemal, że usnęła.

Ach! te długie, ciężkie noce! Z jakiem upragnieniem wyglądała świtu, który miał położyć kres jej własnym udręczeniom i męczarniom dziecka, który miał uciszyć złowrogie nawoływania szyldwachów.

. . . Około piątej zrana blade światło przenikało przez szpary w okiennicach. Mario zapadał w sen głęboki.

Matka wpatrywała się w niego badawczo, chciała go jak gdyby zamagnetyzować, żeby spał smaczniej, ale sama uczuwała zmęczenie, powieki zapadały, głowa chyliła się, sen ją morzył, walczyła z nim zawzięcie, zrywała się co chwila, bo jej się zdawało, że Mario płacze, ale wreszcie popadała w sen ciężki, letargiczny niemal, który ogarnia zwykle osoby, wyczerpane fizycznie i moralnie.

O ósmej, gdy lekarz przychodził, matka i dziecię spali na jednej poduszce, jednakowo bledzi i zmęczeni.

— Jakże noc przeszła? pytał Caracciolo — przygotowując się do wypalenia gardła.

— Bardzo źle — odpowiedziała matka.

— Jednak spał, gdy wszedłem.

— Ale do piątej nie mógł usnąć. Dusił się.

Doktór spuścił głowę, udając, że oczyszcza pendzle.

— Wszystkiemu winne galery — mówiła matka z rozpaczą.

— Ależ nie! uspakajał ją Caracciolo — i w Neapolu dzieci chorują na krup.

Co ją to mogło obchodzić? Ona kładła wszystko na karb galer, czyniła je odpowiedzialnemi za swe męczarnie.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

Leo Belmont: Rymy i Rytmy. Wybór poezji T. 2. Warszawa 1900. Z przedmowy, którą p. Belmont zaopatrzył swoje dwa tomy poezji, dowiadujemy się, że utwory nimi objęte pochodzą z okresu dość rozległego, bo opartego z jednej strony o lata najnowsze, a z drugiej sięgającego w dawne, bardzo młodzieńcze czasy autora.

Trudnoby przyszło wiersze te ułożyć w jakąś linję chronologiczną, któraby oznaczała wzrost twórczości wraz z czasem, nie oddzielają się bowiem one wybitnie od siebie. Różnią się potrosze dojrzalszą treścią uczuć i myśli — ostrzejszym i, że tak powiem zgrabniejszym sarkazmem, znacznie mniej zaś formą — wcale niewybredną. Wolno przypuścić — sądząc z przedmowy, że autor mimo tytułu, jaki nadał wydaniu swych utworów poetycznych, nie rości sobie do tego nadmiernych pretensji. Można przeto wytknąć pewne grzechy poetyckie jak powtarzanie jednakowych słów w rymie w tym samym wierszu, przekraczanie poetyckiej swobody w tworzeniu nowotworów słownych, które nie są ani konieczne ani potrzebne (np. „pijaniła“, „kajdaniące“ etc.) wreszcie zbyt częste nadużywanie zaimka osobistego, sprzeczne z duchem języka, posługującego się tym zaimkiem tylko dla silniejszego nacisku lub przeciwstawienia. Bardzo często miałem wrażenie, że metafory i zwroty poetyczne wyglądałyby lepiej przeniesione tak jak są, w zwykłą prozę powieściową. Wpływ Heinego, który żywo się w tych wierszach odzywa, nie sprawia im bynajmniej szkody — owszem utwory o zacięciu sarkastycznem brzmią lepiej od innych, o ile liryczne zgrzyty i dysonanse heinowskiej ironji w nich nie grubieją i nie otrzymują rysów trywialnej karykatury.

T. Sob.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.